

DNI I NOCE

Powiastrka w czterech aktach.

Na podstawie motywów z powieści Marii Dąbrowskiej "Noce i dnie" (1932–1934).

Postaci i zdarzenia są fikcyjne. Pytania — nie.

*Nie ma większej samotności niż ta, którą się czuje obok człowieka,
przy którym się zapomniało, kim się jest.*

I nie ma większej odwagi niż wrócić.

Przemysław Wdowinsky & Rene Clark

Warszawa 2026

Copyright © 2026 Przemysław Wdowiński Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright © 2026 projekt okładki Przemysław Wdowiński

ISBN 978-83-981252-3-9

SPIS TREŚCI

Pr o l o g	Skąd przyszli	5
AKT PIERWSZY - ZACZEŁO SIĘ OD MEDYCYNY		22
	Warszawa, 2009–2012	
AKT DRUGI - BUDOWANIE I PIERWSZE MILCZENIE		43
	Warszawa, 2012–2022	
AKT TRZECI - CZY TO JESZCZE MY?		57
	Warszawa, 2026	
AKT CZWARTY - LIZBONA		63
	Wrzesień 2027	
Epilog.	Warszawa. Grudzień 2027.	70

*"Nie jesteśmy tylko sobą. Jesteśmy także miejscem, z którego przyszliśmy,
ludźmi, którzy nas urodzili, i domami, w których nauczyliśmy się
co to znaczy być."*

- obserwacja bez autora, znana wielu nielicznym -

Prolog

Skąd przyszli

Barbara. Wrocław, 1981.

Barbara Lawicz przyszła na świat szóstego marca 1981 roku we Wrocławiu, w szpitalu przy ulicy Bartła, gdzie na oddziale położniczym pachniało chlorem i starym linoleum i kawą pitą przez pielęgniarki nocne z termosów w kolorach, które nie miały nazwy. Urodziła się dokładnie o szóstej rano, co jej matka — Hanna, czterdzieści jeden lat, zdjęcia dokumentalne, człowiek o niezłomnym przekonaniu, że punktualność jest forma szacunku dla innych — uznała zawsze za dobry znak. Dziecko, które przychodzi o świcie, powiedziała do położnej zaraz po porodzie, wie kiedy zaczynać.

Czerwiec 2010. Pierwsza wspólna noc.

Nie było w tym nic planowanego. Był dyżur, który skończył się o dwudziestej drugiej, i Barbara wychodząc ze szpitala minęła Bogumiła palącego papierosa przy bocznym wyjściu. Nie wiedziała, że pali. To ją zdziwiło.

— Palę tylko po trudnych operacjach — powiedział bez przeprosin. — Dzisiaj była trudna.

Stała obok niego. Powietrze było ciepłe — pierwszy letni upał, Warszawa pachniała lipami przy szpitalu, ta słodka intensywność, którą albo się kocha, albo od której boli głowa. Zaciągnął się. Ogień papierosa oświecał przez chwilę jego profil — ostry, trochę ściągnięty tamtym napięciem, które jeszcze w nim siedziało.

Poszli do małej restauracji na Żoliborzu. Jedli pierogi i rozmawiali przez dwie godziny — o medycynie, o zmęczeniu, o tym dlaczego oboje zostali w szpitalach publicznych zamiast iść od razu do prywatnych klinik. Barbara powiedziała: „Bo muszę wiedzieć, czy umiem naprawdę, zanim zacznę zarabiać na tym, że umiem”. Bogumił powiedział: „Bo tutaj jest wszystko. Najcięższe przypadki, najlepsze doświadczenie”.

— Boisz się czegoś? — zapytała nagle.

Bogumił odłożył widelec. Patrzył przez chwilę w swój talerz.

— Boję się, że ktoś umrze przez mój błąd. — powiedział w końcu. — I boję się, że nie będę wystarczający. Nie jako lekarz. Jako człowiek.

— Wystarczający dla kogo? — zapytała cicho.

Bogumił spojrzał na nią.

— Nie wiem jeszcze — powiedział.

Wyszli z restauracji o północy i szli wzdłuż Wisłostrady. Wisła błyszczała od świateł mostu. W pewnym momencie Bogumił wziął ją za rękę. Nie zapytał. Nie

zaanonsował. Po prostu wziął, tak jak wkłada się klucz w zamek — pewnie i bez wahnięcia.

Barbara nie cofnęła ręki.

Szli tak długo i żadne z nich nic nie mówiło, bo nie było potrzeby. Rzeka szła obok nich i miasto migotało po drugiej stronie i powietrze pachniało cudnie kwitnącymi lipami, wodą i czymś nieokreślonym, czym pachną noce, kiedy coś się zmienia.

Kwiecień 2011. Zaręczyny.

Bogumił nie zaplanował tego — i to było w całej historii, która zdarzyła się tamtego wieczoru, jedynym szczegółem, który Barbara miała później poddawać w wątpliwość i z którym Bogumił się nie zgadzał, mówiąc: „Nie zaplanowałem formy, ale zaplanowałem sens”. I ta różnica była dla niego zupełnie oczywista a dla niej zupełnie nieuchwytna, i przez to rozmawiali o tym jeszcze wiele lat, aż stało się czymś w rodzaju rodzinnego mitu, który się opowiada i który się przyjmuje niekoniecznie dokładnie.

Było po dyżurze. Oboje mieli wolne następne dwa dni — rzadkość, koincydencja, przypadek. Bogumił zaproponował kolację. Poszli na Śródmieście — do miejsca, które Barbara lubiła, bo miało okno na ogród, i bo podawali tam supę pomidorową, która smakowała tak jak powinna, co jest rzadkością. Zjedli. Wypili wino. Rozmawiali o konferencji, na którą Barbara jechała w sierpniu, o artykule Bogumiła, który utknął w recenzji od trzech miesięcy.

Potem Bogumił umilkł na chwilę. I to milczenie miało inny odcień niż jego zwykle milczenia — było bardziej skupione, z jakimś wewnętrznym przygotowaniem.

— Mam coś do powiedzenia — powiedział.

— To mów — powiedziała Barbara.

— Chcę z Tobą żyć — powiedział. Prosto. Bez ornamentów, bez pozycji klęczącej, bez pierścienia schowanego w deserze. — Nie wiem, czy to jest właściwa pora i czy to jest właściwe miejsce, ale wiem, że to jest właściwe życie. I chcę, żebyś je ze mną przeżyła.

Barbara patrzyła na niego przez długą chwilę. Przy stole obok głośno rozmawiało młode małżeństwo z dzieckiem. Kelner przeszedł z tacą. Ogród za oknem pociemniał.

— To nie są oświadczyzny — powiedziała wreszcie.

— Nie — przyznał Bogumił. — To jest propozycja. Oświadczyzny są na to, co potem, jeśli chcesz.

— Chcę — powiedziała Barbara.

I po chwili, bo musiała się z tym zatrzymać:

— Naprawdę chcę.

Bogumił nie wyciągnął pudełeczka. Wyciągnął za to z kieszeni marynarki mały przedmiot, który wrzucił na stół bez fanfar — pierścień, złoty, prosty, bez kamienia,

bo Barbara mówiła kiedyś przy jakimś innym kontekście, że kamienie w pierścieniach przeszkadzają przy badaniu pacjenta, i on to zapamiętał. Oczywiście, że zapamiętał.

— Mama mi go dała — powiedział. — Po babci. Chciała, żebyś go miała.

Barbara patrzyła na pierścień. Potem na niego. Coś w niej — ta część, która przez lata trzymała uczucia zwięźle i kontrolowanie, bo w medycynie czujący jest słaby, a słaby robi błędy — zaczęła się powoli i niepowstrzymanie osuwać.

Wzięła pierścień. Założyła.

Pasował.

Oczywiście, że pasował.

Sierpień 2011. Ślub. Kościół i to, co nie było w kościele.

Brali ślub w sierpniu, w małym kościele na Żoliborzu — parafii Bogumiła, bo Barbara do żadnej nie należała, a kościół Bogumiła miał tę zaletę, że był nieduży i ksiądz był człowiekiem, który rozumiał, że medycy na mszy są rzadziej niż powinni, ale częściej niż się wydaje.

Barbara weszła w sukni kremowej, prostej, bez trenu i bez welonu — bo welon wydawał się jej gestem, który nie pasował do kobiety, która operuje rozrusznik i pisze artykuły naukowe. Włosy miała upięte wysoko, z tymi kilkoma kosmykami, które zawsze uciekały i które tym razem również uciekły, i fryzjerka powiedziała przepraszam, a Barbara powiedziała: dobrze tak, i to było szczere.

Bogumił czekał przy ołtarzu w garniturze granatowym — nie czarnym, bo czarny jest na pogrzeby - powiedział, i Barbara się z nim nie kłóciła, bo sam fakt że Bogumił miał zdanie o kolorze garnituru był wystarczającym odkryciem jak na taki dzień. Stał prosto, z rękami złączonymi przed sobą, i kiedy Barbara weszła przez drzwi i poszedł ku niej wzrokiem — tylko wzrokiem, ciało spokojne — ona zobaczyła w tym spojrzeniu coś, czego normalnie